

Butelkowa inklinacja

Pozwól mi przenieść cię do nieskażonej człowiekiem puszczy amazońskiej. Dookoła ciebie dzicz. Dokładnie taka, do jakiej niektórzy ludzie chcieliby wysłać Dodę albo Jolę Rutowicz... ale mniejsza z tym. No, więc stoisz teraz w środku ogromnego, straszego lasu... Dookoła ciebie słychać radosny szum wody, promienny śpiew ptaków, wesołe piski małp skaczących po drzewach i pomruki dzikich kotów polujących na kolejne ofiary... Zachłyśnij się tym czystym powietrzem, pocuj na swojej skórze tę ciepłą bryzę, delektuj się tą ciszą, osiągnij ekstazę, usłysz za sobą czyjeś podniecone szept... Teraz powoli (nie ma pośpiechu) obróć się do tyłu. Stoi za Tobą pięciu młodych Brytyjczyków, którzy w ramach projektu 'Gigant Kontrolowany' mają wytrzymać w dziczy rok. Jeśli im się uda zostaną wypuszczeni na wolność. Są to bowiem więźniowie jednego z londyńskich więzień. W ramach ekwipunku mają ze sobą skrzynkę piwa.

A teraz zrób sobie ciepłą herbatę (ja poczekam), usiądź wygodnie, przykryj się kocem, a ja opowiem ci historię – o chłopcach, którzy zostawieni sami sobie w puszczy nauczą się człowieczeństwa, odnajdą swoje sacrum; spokój ducha i ze zdeprawowanych małolatów staną się prawdziwymi ludźmi pro eko.

Najstarszy z chłopców ma dwadzieścia jeden lat. Jest ciemnym blondynem, właśnie ogląda swą twarz w falach Amazonki. Pozostali rozsiedli się wygodnie dookoła pnia po jakiejś ogromnej palmie.

- To jak, chłopcy? Zaczynamy imperek?

- zapytał jeden z nich, Mike, wysoki, muskularny rudzielec o twarzy Apolla.

- Mike, chodź no tutaj – zażądał ten przy rzece. - My mamy tu przetrwać. Rok. Nie pamiętasz? Inteligentnie wybraliśmy się do lasu ze zgrzewką piwa! Za każdym krzakiem czai się jakiś tygrys czy inna hiena gotowa nas pożreć, kiedy tylko wykonamy fałszywy ruch! A ty chcesz pić? Imprezować?

- Głupi jesteś, Blas! Za krzakami czają się panienki z nieznanych nam plemion, półnagie, gotowe się z nami bawić...

- Ty znowu o jednym! – Blas dzielił Mike'a po głowie pustą butelką.

- Idioto! – Mike wyrwał mu butelkę i rzucił w dal. Coś niespokojnie poruszyło się w wielkim, karłowatym krzaku tuż obok nich.

- A po co nam ten młody? Ile on ma? Dziesięć lat? Szkoda takiego tutaj.

- Piętnaście. I chodził do dwujęzycznej szkoły, zna hiszpański.

- Co z tego?

- Jak to co z tego? Przecież tu mówią po hiszpańsku! Tylko on dogada się z tymi pigmejami, których tu spotkamy.

- O ile nie będą mięsożerni. Poza tym skąd wiadomo, że oni tu są hiszpańsko-języczni? Może, jak w Brazylii, mówią po portugalsku, albo w jakimś swoim języku „untis untis” – Mike powrócił do grupy, która akurat wesoło rozmawiała

o polowaniu na gepardy.

- E, młody! – zawołał Blas - Chodź no tu - kiedy młodziak podszedł do niego ściszył głos - znajdź mi ziele kolumbijskie...

Tymczasem butelka rzucona przez Mike'a nagrzewała się na słońcu. Szkło stawało się coraz cieplejsze, gorętsze, spod niego zaczął wydobywać się dym. Najpierw słaby, ledwo widoczny, niczym z tłącej się zapalki.

Chłopcy (dobrze już wstawieni) zaczęli śpiewać i tańczyć. Sprawilo to, że tubylcy z sąsiednich osad poczęli nieśmiało obserwować ich zza krzaków. Młody, który tak naprawdę nazywa się Jake, znalazłszy ziele kolumbijskie (potocznie znane jako konopie indyjskie) dostarczył je Blasowi. Ten skruszył je i wyspał do piwa Mike'a. Zaczęło się ściemniać, niebo szarzało z każdą minutą, noc nadchodziła niezaprzeczalnie i nieuchronnie. Mike dopił resztę swego piwa i rzucił kolejną butelkę w głąb dziczy. Słońce całkowicie zaszło już za bujne liście drzew. Chłopcy zmęczeni i pijani ułożyli się do snu.

Z jednej, małej butelki po piwie powstał jeden wcale niemały pożar. Pożoga chłonęła wszystko, co napotkała na swej drodze, ginęły Bogu ducha winne zwierzęta i rośliny; drzewa, krzaki, trawa, kwiaty – nic nie miało najmniejszych szans... Odgłos trzaskających płomieni obudził Jake'a. Rozejrzał się, pomarańczowo – czerwona łuna błyszczała gdzieś wysoko nad nimi, a przed nim rysował się straszny widok żywiołu, wobec którego był bezradny.

- Blas! Blas!!! BLAS! – krzyczał głośno, dym zagłuszał jego słowa, Jake zakrztusił się. Blas leniwie otworzył oczy. Pozostali także się obudzili, tylko Mike spał twardym, nieprzerwanym snem. Jake kopnął go w brzuch.

Widok, który ujrzał Mike był o tyle przeraźliwszy, że nasiąknięty był piwem i marychą. Wściekły, czerwony kur otaczał go ze wszystkich stron, płomienie jęczały dziko wyciągając po niego swe ogniste szpony. Gdzieś w oddali za kurtyną płomyczków ujrzał uśmiechnięte twarze współwięźniów. Blas krzyczał do niego, że to on jest winien temu, co widzi, oto, do czego doprowadziło rzucanie butelek do lasu. Zaraz spali się we własnej głupocie i beźmyślności. Wtedy zauważył, że płomienie zaczęły znikać, jakby czyjeś ogromniaste, niewidzialne usta je

zdmuchiwały. Poczuł wielkie, zimne krople wody, które ciężko spływały po jego ciele. Nawałnica rozwiewała się, ogień się gasił. Oszolomiony Mike rozejrzył się. Jakaś osada zbudzona ze snu usilnie (i z dobrym skutkiem) usiłowała gasić pożar. Blas, Jake, Rave i Daniel już im pomagali – nosili wodę, tamowali paradę płomieni przez ustawianie tam z kup mokrego piasku wydobywanego na bieżący z dna Amazonki. Tuż przed nim stała mała dziewczynka. Mogła mieć najwyżej jedenaście lat. Ciągnęła wielką, pełną wody balię. Miała na sobie starą, zniszczoną kocią skórę ponętnie zamotaną wokół szyi i odsłaniającą chude jak dwa patyki nogi. Jej czarne jak żużel włosy były rozpuszczone i miękko opadały na prawie nagie plecy. Była tak piękna, że Mike, choć bardzo chciał jej pomóc (był w końcu młody i silny) nie mógł ruszyć się z miejsca. Widok tej dziewczyny hipnotyzował go i zachwycał... Nagle tuż obok niej zobaczył Daniela.

Pomógł jej; chlusnęła czysta, zimna fala. Dziewczyna spojrzała na niego swoimi wielkimi, czarnymi oczami, na jej mizernej twarzyczce zamajaczył się uśmiech. Mike zamrugał. Ani dziewczyny, ani chłopców nie było już przed nim. Za to stał sam, w środku dżungli, pośród ludzi, którzy patrząc na niego kiwali głowami i wśród dogorywającego pożaru. Kłęby dymu unosiły się dookoła i ponad nim. Zrozumiał, że przez własną głupotę i bezmyślność mógł pozbawić życia nie tylko ten las i zwierzęta, ale także swoich kumpi, całe osady, siebie i tę małą, śliczną dziewczynkę... Puścił się biegiem przez dzicz. Musiał ją znaleźć. Tę drugą butelkę. Wielkie, palczaste liście bezlitośnie chłostały go po twarzy, zdierały z niego ubranie zostawiając krwiste szramy na jego idealnie wypracowanym kaloryferku. Słyszał za sobą trzask łamanych gałęzi, leniwy mruk wygłodniałego zwierzęcia, ale nie odwracał się, biegł, ile tylko miał sił w no-gach. Nagle potknął się i przewrócił, a na plecach poczuł poduszki kociej łapy. Przed oczami stanęło mu całe życie jak w reklamie eski (z podkładem „Womanizer” Britney), a potem usłyszał trzask i ciepły, kobiecy głos „brzydki kotek! Nie napada się na ludzi!” spojrzał w górę. Nad nim stał Blas. I Rave. Zadarł głowę jeszcze wyżej i zobaczył tę samą małą dziewczynkę, która targała się z balią. Za nim Daniel zdążył już wyciągnąć strzałę z cielska zwierza i ukręcić mu łeb.

- Uratowałaś mi życie! – wyszeptał wzruszony Mike do dziewczyny.

- A nie powinnam! – powiedziała ochry-ple unosząc pustą butelkę po Carlsbergu. – Mogliśmy wszyscy zginać!

- Przepraszam. Wiem, że postąpiłem źle... w lesie należy zachować ciszę i spokój, nie śmieci się... Jest jeszcze jedna... Butelka... - tym razem Rave uniósł rękę w górę

- O tym mówisz? Sharpay się o nią skaleczyła. – Dopiero teraz Mike zauważył, że dziewczynka jest unoszona przez Jake’a. Jej prawa noga rzeczywiście była cała we krwi, nie wyglądało to za dobrze...

- Mogę to zobaczyć? - zapytał

- Chodźmy najpierw do wioski – zdecydowała władczo. Chłopcy podążyli za nią.

Sharpay straciła dużo krwi, ale bądźmy pozytywnej myśli, jest to dziewczyna silna, o mocnym organizmie. Mike jako były student medycyny zaopiekował się nią.

Od tamtego pożaru minęły trzy lata. Blas, Rave, Jake i Daniel nadal są w puszczy, cywilizują tamtejszą ludność, dbają o lasy, nie pozwalają, aby je wycinano, tłumaczą ludziom, że to może doprowadzić do ocieplenia się klimatu i zalania Wielkiej Brytanii. A tego tubylcy nie chcą. W Anglii są przecież Sharpay i Mike z dwójką swoich ślicznych, małych dzieci...

The end

★nomis